

JANINA KAPUSTA SŁUKA córka Jakuba i Marii z domu Sosków, urodzona 27 XII 1914r wieś Paczułtowice, powiat Chrzanów, woj. Kraków.

Deportowana z wsi Ryków, powiat Złoczów, woj. Tarnopol.

Rodzice w 1920r kupili w Rykowie gospodarstwo rolne o powierzchni 45 hektarów ziemi ornej. Wybudowali dom mieszkalny murowany, oraz budynki gospodarcze.

W 1930r. wzięłam ślub z Bolesławem Kapustą i od tej pory zamieszkaliśmy w swoim gospodarstwie w Rykowie. Mieliśmy dziesięć hektarów ziemi ornej, dom mieszkalny i budynek gospodarczy.

W Rykowie mieszkali Ukraińcy, a na kolonii Polacy.

Do naszego mieszkania przyszła znajoma z widzenia Ukrainka i powiedziała, że Rosjanie będą nas wywozić.

Po kilku dniach od tej rozmowy, o świcie 10 II 1940r do naszego domu weszło dwóch rosyjskich żołnierzy z karabinami. Rozkazali nam ubrać się, przygotować do drogi.

Przed wejściem żołnierzy do naszego domu, mąż widział koło szkoły furmanki i wojsko. Poszedł o tym powiadomić moich rodziców. Tam już byli Rosjanie.

Zabrałam pościel, ubranie, chleb. Zbudziłam córki, ubrałam je i wyszliśmy z naszego domu.

Kapusta	Janina	ur	1914	autorka wspomnień
"	Józefa	ur	1932	córka Bolesława i Janiny
"	Romana	ur	1936	" " "

Przed domem stały sanie. Wsiadłam z dziećmi i bagażem.

Zawieźli nas do majątku w Rykowie. Właściciela majątku generała Marińskiego już nie było. Został wcześniej wywieziony na Sybir. Wkrótce przywieźli męża i moich rodziców. Tego dnia z kolonii w Rykowie wywieźli wszystkich Polaków.

W godzinach popołudniowych z majątku w Rykowie odwieźli nas saniami /san było około trzydzieści/ do stacji Złoczów. Gdy przyjechaliśmy na dworzec kolejowy, ściemniało się, a dworzec otoczyło wojsko. Do wagonów towarowych pędzili z krzykiem, w galopie.

W wagonie było tak ciasno, że nie można było usiąść na podłodze. Drzwi wagonu zamknęli.

Dzieci i część dorosłych spało na pryczach piętrowych, pozostali na podłodze.

Rano zobaczyłam okienka zakratowane drutem kolczastym. W kącie wagonu dziura w podłodze jako ubikacja. Na stacji czekaliśmy całą dobę.

Wreszcie pociąg wykonał manewr i wyjechał z dworca kolejowego. My zaśpiewaliśmy pieśń: "Pod Twą Obronę".

Było tak zimno, że córce włosy przymarzły do ściany wagonu. Woda w wiadrze zamarzała.

Dopiero po tygodniu podróży na postoju pociągu przynieśli nam do wagonu po bochenku chleba dla każdej rodziny, oraz zupę z zielonych pomidorów. Zupa - to zielona woda, bez tłuszczu, bez soli.

Wkrótce pociąg odjechał. Nie pamiętam ile trwała podróż. Rozkazano nam wysiąść. Na dworcu kolejowym dali nam gorącą zupę. Następnie ciężarowymi odkrytymi samochodami wieźli do Kudymkaru. Z Kudymkaru do miejscowości Galaszor jechaliśmy saniami. Sanie - wołokusze ciągnął jeden koń. Do Galaszor przyjechaliśmy wieczorem.

W Galaszor zamieszkaliśmy w dużym baraku, w którym umieszczono piętnaście rodzin. Każda rodzina miała swoje pomieszczenie, oddzielone deskami od dołu do góry. Spaliśmy na pryczach, pod swoją pościelą. W baraku do ogrzewania był blaszany piec.

Rano, naczelnik poinformował nas, że nie wolno nam oddalać się od miejsca zamieszkania, tylko wykonywać zaleconą pracę.

Polacy otrzymali siekiery, piły. Otrzymali również łapcie lipowe. W środku wyłożone szmatami, powiązane sznurkiem. Do pracy w lesie wychodzili o świcie, wracali o zmroku. Pracowali bez wolnych dni.

Mąż ścinał drzewa, brnąc w śniegu po pas. Ja nie pracowałam. Byłam w dziewiątym miesiącu ciąży. Córeczka Romana zachorowała jeszcze w podróży. Pomocy lekarskiej nie było. Chorowała nadal, a córeczka Józia była przeziębiona.

Z Wełwy, na wezwanie przyjechała młoda lekarka. Córcie Romie zleciła tabletki, a później plaster z gorczycy. Józii nie dała żadnego leku.

Mąż jako pracujący otrzymywał pięćdziesiąt dekagramów czarnego, gliniastego chleba. Dzieci i ja otrzymywałyśmy po dwadzieścia dekagramów chleba. Za chleb trzeba było płacić. Dziś nie pamiętam ile, ani ile mąż zarabiał.

U miejscowej ludności wymieniałam ubranie za chleb, mąkę, cukier.

Pod koniec marca 1940r urodziłam w baraku synka. Polka mieszkająca z nami i moja mama odebrały poród. Mama ochrzciła synka z "wody" dała imię Antoni. W drugiej dobie życia na ciele synka wystąpiły pęcherzyki wypełnione wodą. Dziecko gorączkowało. Synek zmarł po dwóch tygodniach. Mąż pochował synka w lesie.

W kwietniu, mimo, że byłam bardzo osłabiona, musiałam iść do pracy w lesie. Dziećmi opiekowała się mama.

W pracy strażnicy wyzywali nas. Smiali się i mówili: "Polska, to pudełko zapalek. Wiatr dmuchnął, a Polski już nie ma i nie będzie. Wy musicie nas słuchać, bo tu pozostaniecie".

W 1941r aresztowali mojego ojca pod zarzutem, że prowadzi wrogą agitację i jest źle usposobiony do Związku Radzieckiego. Ojca wywieźli do więzienia w Kudymkarze.

Z siostrą Marią byłam w Kudymkarze. Widziałam jak tatę prowadzili przez więzienny korytarz. Z zaoszczędzonej porcji

chleba miałyśmy kilka sucharów. Podałam strażnikowi, aby te suchary przekazał ojcu. Czy dał, nie wiemy. Ojca już nigdy więcej nie widziałam, los jego wogóle nieznany.

Mąż, za zezwoleniem władz wybudował z drzewa ciosanego domek, w którym zamieszkała nasza rodzina.

Pod koniec roku 1941 urodziłam córkę. Poród odebrała mama. Córeczkę ochrzciła z "wody" dała imię Zofia. Od tej pory na utrzymanie rodziny pracował tylko mąż.

Mama miała figurkę Matki Boskiej. Zbieraliśmy się w sw wolnych chwilach na modlitwę. Naczelnik zwracał mamie uwagę, że agituje, ale później powiedział: "ty starucha możesz się modlić".

W 1942r mąż mój został powołany do wojska do Armii im T. Kościuszki.

Polaków, mieszkających w Galaszor przewieziono do miejscowości Lenińska Puć odległej od Saratowa o 100 kilometrów. Zamieszkałyśmy w ziemiankach. Spałyśmy na pryzkach. Pracowałam w sowchozie, przy pracach polowych. Było nam bardzo ciężko, głód cierpiałyśmy przez cały okres na zesłaniu. Tutaj dawali nam stęgniętą jęczmienną mąkę i spleśniały makuch. Makuch - to pasza dla bydła.

Ludzie z głodu zjadali pędy świerków, skrzyp. Z trawy "pikant" i pokrzywy gotowali w stołówce zupę. Kradłyśmy kłosa, ziarno. Chodziłyśmy w łachmanach, obdarte, boso. Zawszone.

Córce Romie wypadały zęby. Od lekarza otrzymałam kartkę upoważniającą do pobierania z magazynu kiszzonej kapusty. Zaledwie dwa razy otrzymałam małą ilość kiszzonej kapusty. Lekarka zapisała płyn do smarowania dziąseł. Córka bardzo cierpiała.

Nie pamiętam nazwy miejscowości, w której była rosyjska szkoła. Nasze dzieci chodziły raz w tygodniu na lekcje języka polskiego. Również nie pamiętam na czym w szkole pisały. Listy do męża do wojska pisałam na brzegach gazet.

Córka Zosia w 1944r zachorowała na malarię. Leków nie było. Po miesiącu zmarła.

Polak - staruszek zrobił skrzynie. Z mamą wykopałyśmy grób

Zwłoki Córki ułożyliśmy w skrzyni i złożyły do grobu. Z mamą zasypaliśmy grób.

W tym samym czasie zginął na froncie mój mąż. O śmierci zawiadomił mnie kolega męża.

Brygadzysta, poinformował nas o zakończeniu wojny. Nie miało to żadnego wpływu na polepszenie naszego losu. Pracowałam nadal ciężko, głodni byliśmy ciągle.

Dopiero w marcu 1946r kierownik sowchozu zawiadomił nas, że wracamy do Polski.

Saniami zaprzęgniętymi w konie, byki, zwozili Polaków z okolicznych kołchozów do szkoły /nazwy miejscowości nie pamiętam/. W szkole czekaliśmy jeden tydzień, ze względu na roztopy. Następnie odwieźli nas na dworzec kolejowy w Saratowie.

Wracaliśmy również w wagonach towarowych, ale teraz nie były zamykane. Żyliśmy tym, co kto miał z sobą. Nie pamiętam czy dawali nam posiłki w czasie podróży.

Wydaje mi się, że granicę przekraczaliśmy w Przemyślu. Pamiętam, że ludzie na widok Polskich Granicznych Słupów płakali.

Przyjechaliśmy do Wrocławia do Polskiego Urzędu Repatriacyjnego. W Urzędzie Repatriacyjnym poinformowali nas, że jesteśmy wolni i możemy dowolnie układać sobie życie.

Pojechałam do brata do Wałbrzycha.

Za zgodność: *Janina Słuka*

Janina Kapusta Słuka
ul Thalmanna 116/1
58- 309 Wałbrzych

Wałbrzych dnia, 16 VIII 1991

Wspomnienia spisała

Czesława Tarnawska